CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 149 15 XII 1988 r. Cena 25 zł

ECH, TA TROJKA!

Tak nazywano w starej Rosji zaprzęgi pocztowe. Bryczkę, sanie czy też karetę pocztową ciągnęły trzy konie. Środkowy zaprzężony w hołoble z duhą, czyli z drewnianym pałąkiem przypominającym odwróconą literę U, kłusuje. Dwa boczne konie są przyprzężone i galopują. Trojki służą obecnie niemal wyłącznie do celów sportowo-wyścigowych i do kuligów. (wm)

Fot. **archiwum**

Przed czterdziestoleciem „Świata Młodych"

● GIEŁDA ● PRZETARG ● OKAZJA ●

Szukamy następców!
Wielki nabór dziennikarzy!

Fotoreporterzy i graficy gazetek szkolnych, klasowych, podwórkowych — zapraszamy na łamy „Świata Młodych". Zamawiamy u Was:

● fotoreportaże ● migawki „z życia"
● komiksy ● rysunki satyryczne

Już od dziś czekamy na Wasze oferty!

Liderzy szkolnego boiska

NA PRZEKÓR WARUNKOM

Zbyszek Przednowek (na zdjęciu) mieszka w małej wiosce Warchrata (woj. przemyskie) i jest uczniem tamtejszej szkoły. Właściwie pozbawiony jest możliwości uprawiania sportu. We wsi i okolicy nie ma żadnego klubu, nie ma też człowieka, który mógłby zorganizować chociażby piłkarską drużynę. Kiedy ogłoszono więc eliminacje wojewódzkie do zawodów przełajowych „Po złoty liść jesieni", nie wahał się stanąć na starcie i... wygrał. Dzięki wcześniej zdobytej kondycji zwyciężył również w imprezie centralnej i zdobył puchar „Świata Młodych". To zachęciło go do systematycznych treningów. Polubił przełaje, samotne „zaliczanie kilometrów". Uwierzył, że właśnie w crossie może osiągnąć jeszcze większe sukcesy. Marzy o dalszej nauce w Technikum Radiowo-Telewizyjnym w Przemyślu, pilnie przykłada się więc do fizyki i matematyki. W technikum będzie miał, tak sądzi, lepsze warunki do uprawiania sportu. Pozostanie wierny przełajom. Spróbuje także swoich sił na bieżni. Wysoki wzrost, wytrzymałość oraz ambicja dają gwarancję, że i tam pokaże, na co go stać. Pierwszy krok już uczynił, a więc... **(zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**

ZAKAZ CAŁOWANIA

Prasa RFN reprodukowała nowy znak „drogowy", jaki ukazał się — decyzją rady miejskiej w Monachium — przed najruchliwszym miejscem w mieście przy skrzyżowaniu linii metra. Na planszy widać twarz urodziwej dziewczyny, a pod nią napis: „Miejsce tylko dla wychodzących i wchodzących. Całowanie zabronione".

W tym ruchliwym miejscu komunikacji miasta spotykają się setki młodych. Padają sobie w ramiona, a ich pocałunki przedłużają się... Korki pieszych, które tworzą się przy tej okazji, paraliżują całkowicie ruch!

Z WOJNĄ PRECZ!!!

Autorem rzeźby przedstawiającej pistolet, z lufą związaną na węzeł, jest szwedzki artysta — Frederik Reuterward. Rzeźba ta stanie przed budynkiem ONZ w Nowym Jorku.

Fot. **CAF**

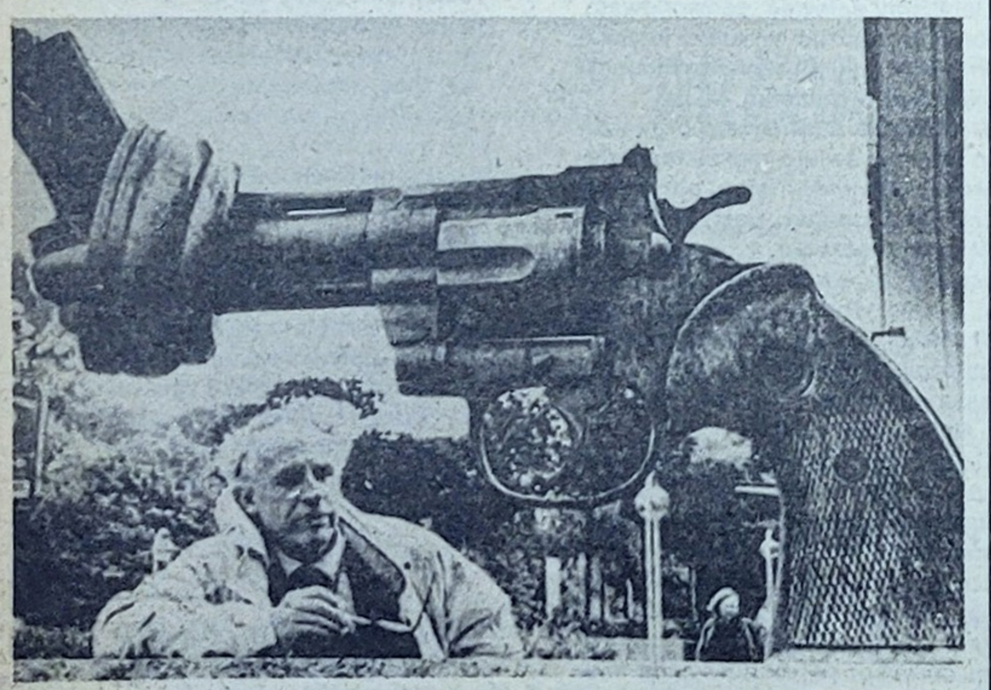

Niebieskie żaby przyszły na świat w niewoli

Indianie wytwarzali niegdyś substancję służącą do zatruwania strzał z wydzieliny skórnej niebieskich żab.

Właśnie dlatego płazy te niezwykle intrygują biologów. Dotychczas uważano, że płazy te nie rozmnażają się w niewoli. Tymczasem w Akwarium Narodowym w Baltimore urodziło się dziesięć niebieskich żabek, co wprowadziło herpetologów z tego akwarium w niezwykle dobry humor.

Wg **„Life"**

NEUROKOMPUTER

(PAP). Japonia w coraz większym stopniu koncentruje swe siły wokół budowy pierwszego neurokomputera, który byłby zdolny naśladować pracę ludzkiego mózgu. Ostatnio rząd tego kraju oraz wielkie koncerny elektroniczne utworzyły specjalnie w tym celu spółkę. Uczeni i biznesmeni japońscy w sierpniu opracują wspólny plan pracy nad projektem „Neurokomputer". Jego realizacja ma się rozpocząć w 1989 r. i zakończyć w 1997 r. Czołowe firmy japońskie wykonały już pierwsze eksperymentalne prototypy neurokomputera. W przyszłości ma on samodzielnie wyciągać wnioski na podstawie własnych doświadczeń i pamięci — podkreślają zgodnie specjaliści.

900-LETNI BUK

(PAP). Najsłynniejszym pomnikiem przyrody w drzewostanie RFN jest buk „Bavaria" w pobliżu wsi Pondorf na Jurze Frankońskiej. Obwód jego pnia wynosi 8 m, zaś obwód olbrzymiej korony przekracza 80 m. Liczące 900 lat drzewo jest latem w pełni zielone i ma wszystkie liście. Buk „Bavaria" stanowi od lat atrakcję turystyczną i ulubione miejsce odpoczynku.

Narodziny orki

W Orkland na Florydzie w akwarium morskim przyszła na świat orka. Kamera rejestrowała ten niecodzienny fakt. Był to bowiem trzeci przypadek przyjścia na świat w niewoli tego drapieżnego morskiego ssaka. Mama orka i jej niemowlę czują się dobrze.

Fot. **CAF**

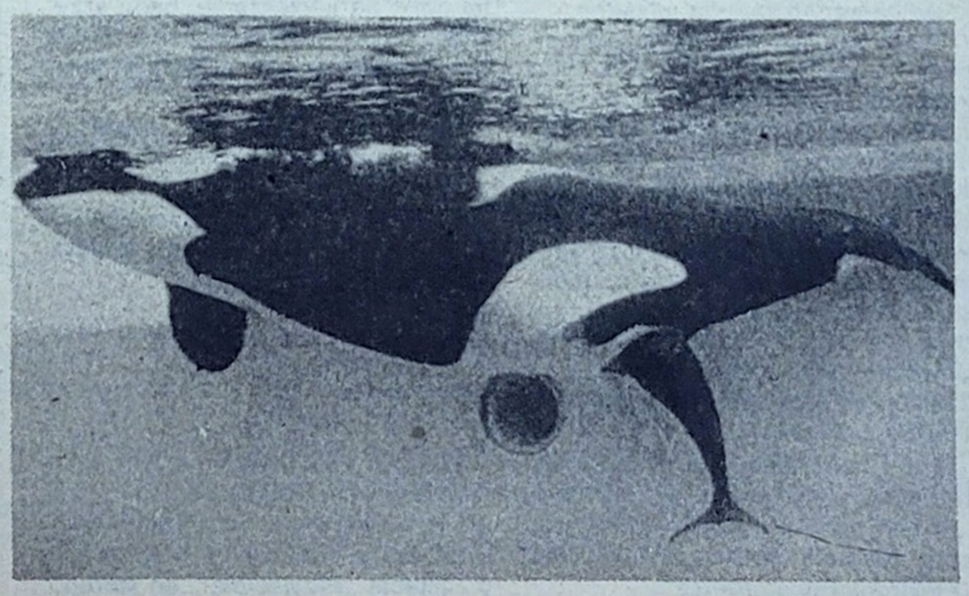

Szybkobieżne pociągi

(PAP). Od 1989 roku szwedzkie koleje państwowe zamierzają wprowadzić do normalnego ruchu kolejowego pociągi poruszające się z prędkością 200 km na godzinę.

Ciekawostką tego przedsięwzięcia jest to, że szybkobieżne pociągi będą się poruszać po normalnych trasach kolejowych, z tym, że zostaną wyposażone w specjalne urządzenia do pokonywania niebezpiecznych, jak dla tej prędkości, zakrętów.

„Moich dziesięć zdań"

Niedawno powiedzieliśmy sobie, że nadszedł czas na myślenie: o tym, jakie jest nasze harcerstwo, jakie miejsce zajmujemy w nim my i nasi najbliżsi druhowie; o tym, co w nim kochamy, a co nas drażni i zniechęca; o tym jakiego chcielibyśmy „harcerstwa naszych marzeń"; o tym, co możemy zrobić my sami, by zbliżyło się ono do tego wymarzonego ideału, a czego oczekujemy od innych, tych wyższych stopniem i funkcją; o tym wreszcie, co powinno się w nim zmienić, a z czego nie wolno zrezygnować!

Mam nadzieję, że coś już z tego intensywnego myślenia, a może i dyskusji, wynikło. Wystarczy teraz chwycić długopis i kartkę papieru...

Proponuję, abyście wyobrazili sobie, że zostajecie zaproszeni na IX Zjazd ZHP. Stajecie na mównicy, by wygłosić wobec wszystkich delegatów swoje poglądy o dniu dzisiejszym i przyszłości naszej organizacji. I — abyście ograniczyli się do mówienia jedynie o tym, co według Was najistotniejsze — macie do dyspozycji jedynie... dziesięć zdań.

Zastanówcie się dobrze: przecież niełatwo zawrzeć w dziesięciu zdaniach całą swoją prawdę!

Postarajcie się, by ta Wasza prawda dotarła najpierw do nas i, za naszym pośrednictwem, do delegatów na zjazd. Czekamy na Wasze (wszystkich chętnych, a więc harcerzy, instruktorów i zuchów też) wypowiedzi z ogromną niecierpliwością: nawet nie wiecie, jak bardzo ciekawi jesteśmy Waszych opinii na temat harcerstwa.

Listy nadsyłajcie pod adresem: **„Świat Młodych" ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa** z dopiskiem **HSI — „Moich dziesięć zdań".**

EWA KOSIŃSKA

PS. Kto ma ochotę, może sobie obliczyć, w ilu zdaniach udało mi się sformułować ten apel do Was. I... bierzcie przykład. Powodzenia.

My im tylko przeszkadzamy

Nie jestem zadowolona z mojej drużyny. Nie jest to taka drużyna, jaką bym chciała mieć. Nie ma w niej nastroju.

Przede wszystkim powinniśmy być wobec siebie uprzejmiejsi. Szczególnie młodsi chłopcy, z czwartych — piątych klas, są ordynarni. To naprawdę nic przyjemnego spotkać się z ich chamstwem.

Starsi w ogóle się nami nie przejmują. Zajmują się tylko sobą. Drużynowa jedynie przekazuje rozkazy, nigdy nie spyta nas „jak leci?", gdy spotka nas na ulicy, to tylko informuje, kiedy odbędzie się zbiórka lub rajd, mówi żebyśmy przyszły i na tym koniec.

Nie ma mowy o tym, żeby z kimś ze starszych porozmawiać. Kogo to obchodzi, że przeczytałam jakąś ciekawą książkę, że coś mi się powiodło albo nie w domu lub w szkole? Oni są zainteresowani tylko przygotowaniami do rajdów, uczestniczeniem w rajdach, zdjęciami z rajdów... Rajdów, które nas na ogół nie dotyczą.

Takie dzieciaki jak ja (jestem w piątej klasie) w ogóle nie mają szans. Jasne, że zastępy złożone z samych starszych harcerzy są i będą lepsze niż zastępy złożone z samych małych, gdzie tylko zastępowa jest starsza. Według mnie to wszystko powinno być bardziej przemieszane. Ale... trudno mi za to winić kogokolwiek, bo zdarza się, że zastęp zbiera się tylko z ludzi z jednej klasy, za nic nie chcących już przyjąć do siebie kogokolwiek.

Z okazji ważniejszych uroczystości są zbiórki drużyny przy kominku, ale to też nie jest to! Byłoby „to"!, gdyby wszystkim chciało się śpiewać, gdyby każdy mógł powiedzieć, co chce. A tymczasem wszystko jest przygotowane na kartce, taki „kominek z kartki" bez swobodnych wypowiedzi. Jest nudno, a najczęściej słyszane słowa to „nie pchaj się".

Coś własnego to sobie stwarzamy na zbiórkach zastępu. Robimy wtedy to, na co mamy ochotę: czasami sobie śpiewamy, czasem sprzątamy, czasem mamy biegi po szkole albo naukę samarytanki, najfajniej jest, kiedy zastępowa opowiada nam przy świecach o dawnym harcerstwie.

Miałyśmy takie marzenie, żeby nauczyć drużynę innych piosenek niż śpiewane najczęściej do tej pory, nie bardzo harcerskie, tylko takie niby dowcipne zwyczajne pioseneczki. I nie udało się nam. Bo stwierdzili, że nie ma sensu, żeby tylko jeden zastęp śpiewał, uczyć im się nie chciało i dalej śpiewamy wspólnie tylko te, które umieją oni.

Nikt w sumie nie dba o harcówkę. Ona nie jest ładna, więc mogłaby chociaż być sprzątnięta. Kiedyś nasz zastęp zawziął się i posprzątał przed zbiórką drużyny; dwa pełne kosze śmieci wyniosłyśmy, ale nikt tego nie zauważył, a po zbiórce był w harcówce taki sam śmietnik!

Jeszcze coś o stosunku starszych do maluchów. Jak na przykład zuchy robiły teatrzyk i nie bardzo im się to przedstawienie udało, drużyna podczas niego sapała, stękała z niechęcią, narzekała na głos, że ma zmarnowaną zbiórkę. W końcu zaczęli powoli wychodzić, aż na koniec zostały tylko trzy albo cztery osoby. I zuchom było bardzo przykro. Można było przecież chociaż wysiedzieć do końca i w ogóle jakoś inaczej to załatwić.

Według mnie harcerz nie jest harcerzem, jeśli nie przestrzega prawa. A oni nie przestrzegają! Bo przecież harcerz w myśl prawa, ma pomagać innym. A nasi koledzy nam jeszcze przeszkadzają. Kiedy któraś z druhen idzie obładowana do harcówki albo do magazynu, na przykład niesie ciężkie belki, to jeśli któraś jej spadnie, nie ma co liczyć na pomoc druha. Bo on nie tylko powie „sama sobie nieś", ale jeszcze tę belkę kopnie.

Ta drużyna byłaby fajna, gdyby nie było w niej nas — młodszych. Ci starsi się naprawdę rozumieją, a my im tylko przeszkadzamy. Najchętniej widzieliby nas wszystkich w zuchach. Ja to rozumiem, ale nie wiem zupełnie, co mamy robić.

Tak samo jak moje koleżanki i koledzy nie odchodzę z drużyny, bo jak nie będę w tej drużynie, to mogę nie znaleźć sobie innej. I nie będę już mogła mówić, że jestem harcerką. A ja bardzo chcę nią być. I kiedy na przykład pani na polskim opowiada o harcerstwie podczas wojny, zachwyca się harcerską wspólnotą, to jestem dumna, kiedy na jej pytanie o to, kto w klasie należy do harcerstwa, mogę podnieść rękę.

Nawet jeśli my młodsi w głębi duszy uważamy naszą drużynę za okropną, to i tak się do tego głośno nie przyznajemy. Bo wcale nie jesteśmy pewni, że inne są lepsze. My przecież nie mamy porównania bo nie znamy tak naprawdę żadnej innej drużyny oprócz naszej.

Chciałabym się przenieść, ale zupełnie nie wiem, jak to zrobić, nie wiem też, dokąd mogę z tym swoim problemem pójść.

A może ktoś z Was mi poradzi, co mam robić?

Magda (11 lat)

PODSUMOWANIE I

Chciałabym podsumować moje harcerskie życie, powspominać i te odległe, i nieco bliższe dni....

Do harcerstwa wstąpiłam w listopadzie 1986 roku. Nasza drużyna „Wodne wilczęta" liczyła dwadzieścia osób, drużynową była druhna Elżbieta Sętowska. Gdy się nieco oswoiliśmy z harcerstwem, druhna snuła opowieści o Baden-Powellu, o tworzeniu się skautingu.

Z tamtych lat pozostały mi w pamięci „Warsztaty muzyczne" w Rusocinie. Był to nasz pierwszy sprawdzian ze śpiewu. Śpiewałam wtedy piosenkę „Ten, kto dzielny...". Pamiętam swoją tremę. W końcu publiczne zaśpiewanie trzech zwrotek to dla jedenastolatki nie byle co! Zostaliśmy nagrodzeni oklaskami i okrzykami. Myślałam, że pęknę z rozpierającej nas dumy. Później posłuchałam, że nasze „wycie" bardzo podobało się harcerzom starszej generacji.

Następną imprezą były również „warsztaty", tym razem w Starogardzie Gdańskim. Ach, niezapomniany druh Zośka, śpiewający „Krajobrazy", mistrzowsko wykonujący „Jaguara" Stonka. Były też zwiady harcerskie, była dyskoteka. Panowała wspaniała, rodzinna atmosfera, wręcz raj!

Z druhną Elą jeździliśmy na wycieczki do Gdańska, Sopotu i Gdyni. Cóż to była za frajda! Niestety, druhna wyszła za mąż i nie mogła już prowadzić zbiórek. Wydawałoby się, że nasza kariera skończona.

Tymczasem... zaopiekowała się nami druhna Basią Chmielińska. Natychmiast przechrzciła nas na 13 DH im. Leonida Teligi. Po kilku miesiącach mieliśmy uroczyste przyrzeczenie. Z druhną Basią byliśmy na Manewrach Techniczno-Obronnych, na zimowisku w Poznaniu i na V —

Rajdzie „Rodło". Szczególnie „Rodło" godne jest wspomnienia.

Rajd odbył się w maju 1988 roku. Trasa: Kartuzy — Dzierżążno — Żukowo — Pruszcz. Pierwszy apel, kominek, na którym śpiewano i piosenki typowo harcerskie, i rozrywkowe, tańczono kadryla, pląsano.

Trasa VI, wiodąca Jarem Raduni, była — jak zresztą uprzedzał jej kierownik, druh Kupiś — dosyć trudna. Kilka dziewcząt, nie zachowawszy ostrożności, skąpało się nawet w lodowatej wodzie. Natomiast bardzo szybko znaleźliśmy ze sobą wspólny język, a to za sprawą nadzwyczajnego druha Kupisia, który m.in. dzięki nieodłącznej gitarze potrafił rozkręcić każdy kominek. Smaczne posiłki były zaś zasługą zastępu służbowego, złożonego wyłącznie z chłopców.

Pod koniec rajdu, już w Pruszczu, na cześć wszystkich uczestników „Rodła" odbył się pokaz sztucznych ogni. Niemałą atrakcją był też film „Elektroniczny morderca".

Jaka szkoda, że taki rajd, podczas którego poznaje się tylu wspaniałych ludzi, jest tylko raz w roku! Dobrze, że zostaną ze mną fotografie, piosenki i nadzieja, że być może za rok spotkamy się wszyscy na VI „Rodle", na tej samej trasie... A do tej pory, na pocieszenie, będą przychodzić listy, nie na darmo przecież wymieniłam adresy z tyloma kolegami.

Myślę, że nie ma nic wspanialszego niż harcerska rodzina...

Alina Lewandowska
Pruszcz Gdański

PODSUMOWANIE II

Chociaż skończyłam w tym roku podstawówkę, pragnę napisać o DH im. A. Mickiewicza przy Szkole Podstawowej w Niedrzwicy Kościelnej i o zastępie „Przyjaciele", do którego jeszcze przed paroma miesiącami należałam.

Do dzisiaj pamiętam Obietnicę Zucha, jaką złożyłam 17 marca 1981 roku. Wstąpiłam wtedy do Drużyny Zuchów „Słoneczne promyki". Przyrzeczenie Harcerskie składałam 9 maja 1985 roku.

Na zbiórkach było bardzo fajnie — zawsze mieliśmy co robić. Uczyliśmy się wielu piosenek. Do dzisiaj trzymam zeszyt z bogatym zbiorem różnych piosenek harcerskich i stale tę moją kolekcję powiększam. To, że lubiliśmy śpiewać, spowodowało, iż braliśmy udział w wielu festiwalach, m.in. w Festiwalu Piosenki Harcerskiej w Lublinie.

W drużynie starano się organizować co roku święto pieczonego ziemniaka. Był wtedy bieg patrolowy, różne gry i zabawy, ognisko i oczywiście pieczenie ziemniaków. Wszystko zaczynało się po południu, a kończyło późnym wieczorem.

W mojej szkole harcerze często organizowali dyskoteki, nawet z poczęstunkiem. Co roku odbywały się też andrzejki.

Dzięki druhowi Pycowi nasz zastęp zainteresował się teatrem, zwłaszcza lalkowym. Wystawialiśmy w naszej szkole, ale też i w innej, a także w przedszkolu. Z przedstawieniem „Cztery misie i ten piąty" (ja byłam misiem Maczkiem w czerwonym ubranku) pojechaliśmy na chorągwiany (w Lublinie), a później Ogólnopolski Przegląd Harcerskich Teatrzyków Lalkowych — Kęty '87. Na obu przeglądach zostaliśmy nagrodzeni.

Do dzisiaj bardzo mile wspominam ferie zimowe w Kętach, dokąd chciałabym jeszcze kiedyś pojechać. Nasz zastęp zaprzyjaźnił się wtedy z korespondentką HSI, Anką Gołębiowską, której opowieści tak mi się spodobały, że zapragnęłam również kiedyś taką korespondentką zostać. Może się uda?

Agnieszka Dudzińska
Niedrzwica Kościelna

REDAKCYJNA POCZTA

Umówiliśmy się na spotkanie w 1991 roku!

Chciałabym się podzielić kilkoma sprawami, które nurtują mnie od początku roku szkolnego. Obecnie jestem w I klasie LO, ale nie o tym chcę pisać!

W VIII klasie przyszło mi rozstać się ze starym towarzystwem. Byliśmy klasą zgraną (choć zdarzały się kłótnie), umówiliśmy się na spotkanie w roku 1991! Jak takie spotkanie ma dojść do skutku, skoro już po kilku miesiącach ludzie, którzy w końcu przeżyli ze sobą kilka lat, nie poznają się. Oto przykład: jechałam z chłopakiem z byłej klasy jednym autobusem. Nawet się nie uśmiechnął. Udawał, że mnie nie widzi, bo nie sądzę, aby mnie nie zauważył.

Druga sprawa: w dzisiejszych czasach nie można mieć kolegów. Wydaje się, że chłopcy wychodzą z tego założenia, iż z dziewczyną należy tylko chodzić, a jeżeli nie, to nie ma się co nią zajmować. Nie ma co tracić czasu na „zwykłą" koleżankę. Jest to bardzo przykre.

Chciałabym się dowiedzieć, co o tym sądzą czytelnicy „Świata Młodych".

Przy okazji popieram Magdę z Gdańska (nr 122 „ŚM"). Należy więcej rozmawiać o sprawach młodzieży takich jak np. „dawanie dowodów miłości". Najlepiej byłoby wysłuchać opinii chłopców — czy dla nich nie może być miłości bez „dowodów"?

Pozdrawiam redakcję i wszystkich czytelników oraz byłą VIIIc!

Aśś

Koleżanka wszystko może, a ja nie

Mam 12 lat i chodzę do VI klasy, jestem stałą czytelniczką „Świata Młodych". W zeszłym roku przyszła do nas nowa uczennica, z którą się bardzo zaprzyjaźniłam. Przychodziłyśmy do siebie dosyć często.

Od pewnego czasu rodzice jednak nie pozwalają, żebym chodziła do niej, ponieważ jest za daleko. Mówiąc: czemu ona nie może przyjść, a tylko ty musisz chodzić do niej itp. Moi rodzice bardzo się o mnie boją, nie chcą, abym sama chodziła tak daleko. Rozumiem, że się martwią, ale nie rozumiem tego, że moja przyjaciółka może chodzić gdzie chce, a ja nie. Dlaczego rodzice nie puszczają mnie do niej?

Gdy jestem w szkole i często prosi mnie, abym do niej przyszła, mówię jej, że rodzice nie chcą mnie puścić, a ona się upiera i mówi, że tak często przychodzi do mnie, a jak tak rzadko. Co mam robić? Pomóżcie mi, jak jej to wytłumaczyć? Może Wy, drodzy czytelnicy „Świata Młodych", mi pomożecie.

„Beatrice"

OD REDAKCJI: Przyjaciel powinien nie tylko wymagać i brać. Winien też rozumieć i dawać. Twoja przyjaciółka zapewne przestanie się upierać, jeśli jej wytłumaczysz, dlaczego rodzice zabraniają Ci częstych wizyt u niej. Może mają rację. Jej rodzice mniej się boją, nie mają takich wymagań — ich sprawa.

Może jednak teraz, gdy dzień tak krótki, gdy tak szybko robi się ciemno, obie ograniczycie wizyty w swoich domach do spotkań w niedzielne czy sobotnie przedpołudnia? Wiosną i latem gdy nastaną dłuższe dni, czasu na wizyty będzie więcej.

(bs)

Trybuna Ludu

KONGRES JEDNOŚCI ROBOTNICZEJ
POWOŁUJE DO ŻYCIA
POLSKĄ ZJEDNOCZONĄ PARTIĘ ROBOTNICZĄ

ZJEDNOCZENIE

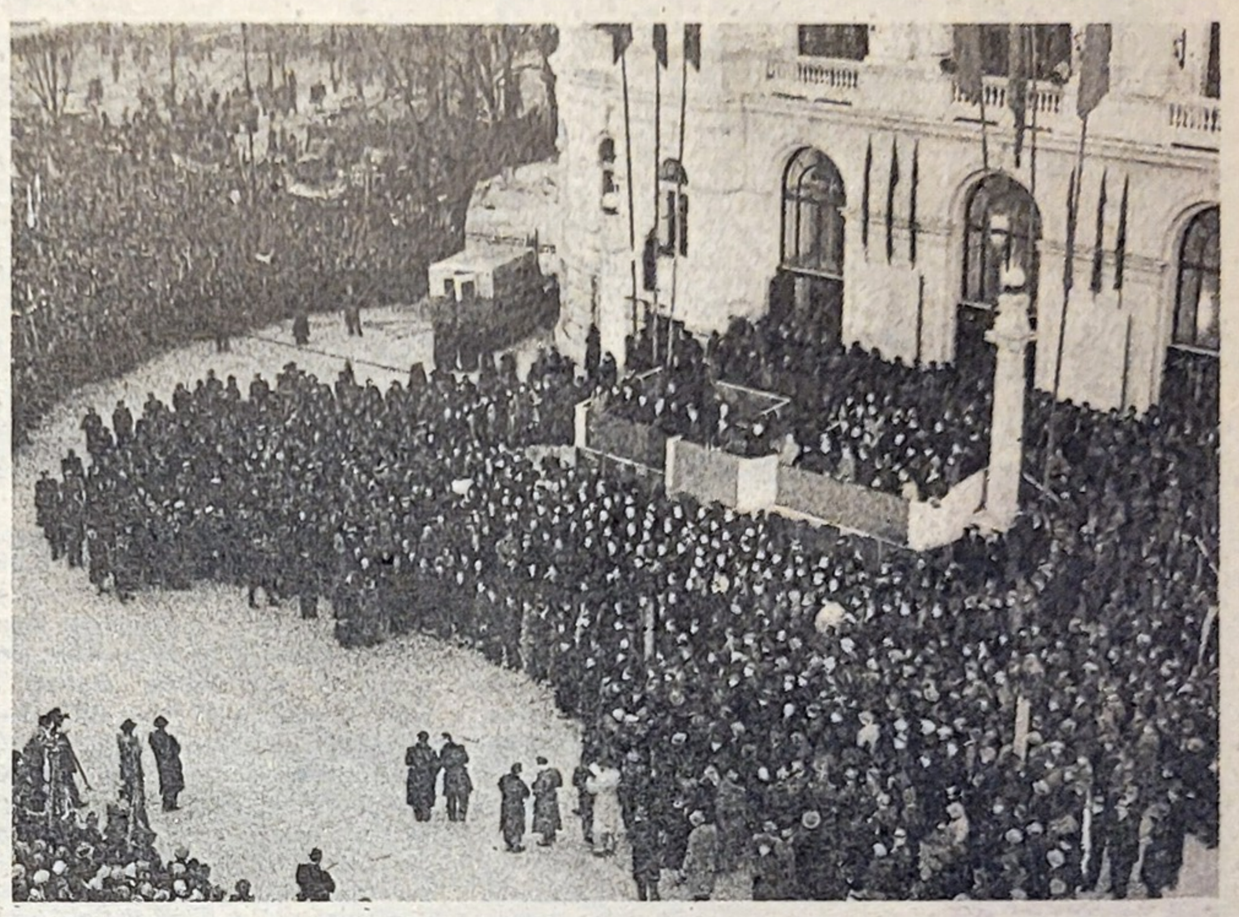

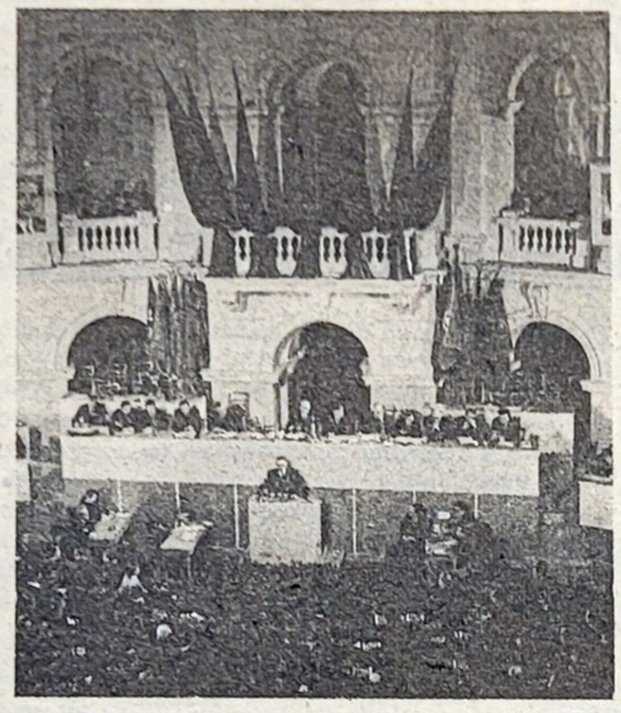

Czterdzieści lat temu, **15 grudnia 1948 roku,** na Kongresie Zjednoczeniowym obradującym w gmachu Politechniki Warszawskiej podjęto decyzję o organicznym połączeniu dwóch partii: Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej w jedną — Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Poprzedniego dnia II Zjazd PPR i XXVIII Kongres PPS postanowiły rozwiązać swoje partie.

Podjęta wówczas decyzja wyrastała z doświadczeń ścisłej współpracy obu partii po wyzwoleniu w tworzeniu podstaw nowego ustroju, z przekonania, że jedność celów i treści działania wymaga także organizacyjnej jedności. Uważano, że nie leży w interesie klasy robotniczej istnienie kilku partii reprezentujących jej interesy. Byłoby to bowiem świadectwo rozłamu, szkodzącego w walce o sprawiedliwość społeczną, o zbudowanie państwa socjalistycznego, w którym kierowniczą rolę miała odgrywać klasa robotnicza.

Zjednoczenie obu partii robotniczych miało zatem polegać na tym, że każda z nich wniosłaby do nowej organizacji swój najcenniejszy dorobek: PPR — radykalizm celów i środków działania, proletariacki internacjonalizm, zaś PPS — tradycję patriotyczno-niepodległościową, dorobek „pracy organicznej" — w spółdzielczości, w oświacie i kulturze. W swojej deklaracji ideowej PZPR nawiązywała do rewolucyjnych tradycji polskiego ruchu robotniczego: I Proletariatu, Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, Komunistycznej Partii Polski, Polskiej Partii Socjalistycznej-Lewicy i lewicowego (tzw. jednolitofrontowego) nurtu PPS.

Niestety, czas zjednoczenia obu partii przypadł na początek okresu deformacji życia społeczno-politycznego, zwanego stalinizmem. W rezultacie nastąpiło zwichnięcie zasad, na jakich miało dojść do zjednoczenia; pomniejszano znaczenie dorobku PPS, administracyjnie zmniejszano jej szeregi, trzonem kadrowym nowej partii stali się przedstawiciele dogmatycznego skrzydła Polskiej Partii Robotniczej. Tuż przed Kongresem Zjednoczeniowym odsunięto od władzy i wpływów dotychczasowego sekretarza generalnego PPR-u Władysława Gomułkę, reprezentującego nurt określany „polską drogą do socjalizmu"; nurt ten wyciągał wnioski z następujących faktów: w Polsce istnieje indywidualne nieźle postawione rolnictwo, znaczący wpływ na postawy i poglądy Polaków (w tym na większość klasy robotniczej) ma Kościół katolicki, Polacy przywiązani są szczególnie do tradycji niepodległościowych. Zamiast tego bezkrytycznie lansowano wzory zaczerpnięte ze stalinowskiej praktyki budowy socjalizmu w ZSRR, przyjęto pogląd o zaostrzeniu się walki klasowej w miarę postępów budowy socjalizmu. Pierwsze lata pięćdziesiąte upłynęły pod znakiem ograniczenia demokracji, łamania praworządności. Kierownicza rola partii w wydaniu dogmatycznym polegała nie tyle na twórczej inspiracji, ile na biurokratycznym, drobiazgowym kierowaniu wszystkimi i wszystkim, na pomijaniu uzasadnionych oczekiwań i aspiracji społeczeństwa.

Po październiku 1956 roku i powrocie do władzy W. Gomułki najjaskrawsze błędy i wypaczenia w życiu partii zostały zlikwidowane. Niemniej jednak dominującą rolę odgrywały cały czas siły biurokratyczne kierujące się dogmatami zamiast rzeczywistym rozeznaniem spraw polskich oraz potrzeb i nastrojów Polaków.

Wielki wstrząs — wraz z całym społeczeństwem — przeżyła partia na początku lat osiemdziesiątych. Od IX swojego Zjazdu (1981 rok) prowadzi ona aktywną politykę na rzecz zwiększenia zakresu ludowładztwa, demokracji, samorządności; a także na rzecz stworzenia szerokiej płaszczyzny porozumienia narodowego — przy zachowaniu socjalistycznych zasad ustrojowych. Celem partii jest dziś wyprowadzenie kraju z kryzysu gospodarczego i przywrócenie rangi ideowym i moralnym wartościom socjalizmu.

PZPR, która od czterdziestu lat sprawuje kierowniczą rolę w państwie, ponosi za los Polski odpowiedzialność szczególną. Jej powinnością jest znalezienie odpowiedzi na wyzwania, przed jakimi obecnie stoi nasz kraj i naród. Jak lapidarnie ujmują to dokumenty partyjne, chodzi o to, by *„kierownicza rola Partii nie płynęła tylko z konstytucyjnego zapisu, ale by wynikała z jej rzeczywistej roli i autorytetu w społeczeństwie"*.

(jar)

Praktyki uczniowskie wprowadzone zostały podobno po to, by dzieci i młodzież poznały smak i wartość pracy fizycznej

PRACA, PRACĄ, Z PRACĄ, O PRACY...

Wieś oddalona 20 kilometrów od miasta wojewódzkiego. Szkoła, do której uczęszczają uczniowie z pięciu wiosek. 150 uczniów, 14 nauczycieli.

Kilka kilometrów od szkoły — las. Zielone płuca? Miejsce rekreacji? Może. Ale dla uczniów tej szkoły z klas 6–8 to przede wszystkim miejsce pracy. W ramach praktyk uczniowskich oczywiście.

„Praktykanci" uważają, że dodatkowe „lekcje" z przedmiotu „praca fizyczna" są im absolutnie niepotrzebne. Natomiast najsprawiedliwsze oceny mogliby im w tym przypadku wystawiać rodzice.

Wycinanie podszytu, zbieranie nasion, usuwanie gałęzi po wyrębie lasu — nieraz naprawdę potężnych, ponad ich siły — wycinanie lub wyrywanie uschniętych drzewek iglastych w szkółce, oczyszczanie pasów przeciwpożarowych to wprawdzie

prace użyteczne, ale...

— Po pierwsze, obowiązuje godzina pracy tygodniowo, a że nie ma sensu jeździć co tydzień parę kilometrów na tę jedną godzinę, połączono je i wypadły cztery godziny raz w miesiącu. Pięknie. Tyle że te prace można wykonywać jedynie wiosną i jesienią, a i to w zależności od pogody. Wiosną i jesienią czyli akurat wtedy, kiedy jest najwięcej roboty w polu! Na dodatek, aby odrobić zaległe praktyki zimowe z okresu grudzień — marzec, musimy jeździć do lasu co najmniej na dwie soboty w miesiącu. I nieważne są pilne prace we własnym gospodarstwie — nieobecni dostają dwóje (chyba że przyniosą zwolnienie lekarskie), a poza tym stale się nam przypomina, że są to dwóje z przedmiotu, które mogą zaważyć na świadectwie.

Nieraz wykonujemy czynności należące do obowiązków etatowych pracowników leśnych. Tymczasem ci, za których harujemy, stoją nad nami jak nad niewolnikami, czasem się jeszcze z nas nabijają.

A żeby było jeszcze ciekawiej, niejeden z nas podczas palenia śmieci popalił przy okazji kurtkę czy bluzę. Natomiast pieniądze, jakie za te prace otrzymujemy, a właściwie — jakie są przekazywane do szkoły, to czyste kpiny!

A może by tak...

Grono pedagogiczne jest w tej sprawie zadziwiająco jednomyślne: praktyki uczniowskie w wiejskiej szkole podstawowej są absolutnie bez sensu!

— Sadzenie, wykopki, żniwa, siewy, obrządek — robota przecież jest na okrągło przez cały rok. Nasi uczniowie dopiero wieczorami mają czas na odrabianie prac domowych.

— Warto też może wspomnieć, że praktyki obowiązują kilka klas naraz i dla takiej gromady dzieciaków trzeba je porządnie zorganizować, ułożyć siatkę godzin, dopilnować; że ten pilnujący nauczyciel nie ma roboczego ubrania; że współpraca z lasem istniała i bez praktyk!

Ponieważ jednak nauczycielom wytłumaczono, że nikt nie da rady zmienić tej sytuacji, bo spowodowało ją przecież zarządzenie Ministerstwa, próbują chociaż wynaleźć jakieś sensowniejsze sposoby przebrnięcia przez przeszkodę. Padają różne propozycje.

— A może by tak zaliczać na stopień pracę dziecka wiejskiego w domu? Rodzice by poświadczali, że takową wykonuje.

— Jeśli nawet rodzice nie mają gospodarstwa — rzadko, ale to się zdarza — nie ma obaw: na pewno mają je dziadkowie, samotni starsi ludzie też się zawsze we wsi znajdą.

— A może by tak rodzice na polecenie nauczycieli poprzydzielali dzieciom konkretne zajęcia: jednemu skrawek poletka, na przykład dwa ary, do obrabiania; drugiemu krowę lub konia do oporządzania; jeszcze innemu królika do hodowania. I, dajmy na to, raz w miesiącu, w ramach praktyk, niech nauczyciel sprawdza założony specjalnie w tym celu przez ucznia zeszyt czynności i stawia stopnie. Mój sąsiad, student SGGW, który ma młody sad, nie musi odbywać praktyk studenckich: wystarczyło zaświadczenie z gminy, że się w tym swoim sadzie napracuje.

— A może by tak pracowali na zorganizowanej specjalnie w tym celu przyszkolnej działce?

— A może by tak dać sobie z tym wszystkim spokój?! Przecież każdy z tych sposobów w mniejszym lub większym stopniu opiera się na fikcji, obłudzie, wprowadza dodatkową biurokrację. Jest sztuczny. Prawda zaś jest jedna: kto mieszka na wsi — wie, co to praca!

Matki nie mają najmniejszych wątpliwości.

— Rzeczywiście, bardzo są te praktyki naszym dzieciom potrzebne, inaczej nie wiedziałyby, co to ciężka robota i jeszcze by nam na lordów wyrosły! Przecież one nawet na obóz wędrowny w lecie nie pojadą, bo muszą pomagać w polu.

— Nie będę dawać dzieciakowi żadnego poletka! A żniwa i wykopki to nie praktyki?!

★ ★ ★

— Kochany panie dyrektorze, czy aby na pewno dzieci w pańskiej szkole nie mają pojęcia o pracy fizycznej? Nie mają go do tego stopnia, że muszą mieć obowiązkowe praktyki uczniowskie?

— Rzeczywiście, przymusowe zapewnienie młodzieży kontaktu z pracą jest może zasadne w warunkach miejskich, u nas zaś — i władze powinny to wiedzieć — są nieco inne tradycje domowe: dzieciak nieraz... tyra jak osioł.

Nie możemy jednak postępować wbrew zarządzeniom kuratorium! Istnieje wprawdzie możliwość zwolnienia uczniów z praktyk, ale tylko w wyjątkowych przypadkach, gdy rada pedagogiczna ma szczególne argumenty: trudności bazowe lub kadrowe, brak ofert pracy. Nas to nie dotyczy. Zresztą w naszej gminie, w której jest sześć szkół podstawowych, żadna nie jest z obowiązku praktyk zwolniona. Tak zaopiniowała nasza pani inspektor.

Na pocieszenie jednak powiem pani, że stopień z praktyk, który w ubiegłym roku był odrębny, w tym roku ma stanowić część składową stopnia z przedmiotu praca-technika.

Jakoś mnie to nie pocieszyło. Co to zmieni?!

A może w Ministerstwie Edukacji Narodowej ktoś kompetentny pomoże mi przemówić do rozsądku zakochanej w przepisach pani inspektor?

EWA KOSIŃSKA

„POLARNY MOST" — na nartach przez Morze Arktyczne

Trasa wiodła po dryfujących lodach z Ziemi Północnej przez Biegun Północny na Przylądek Kolumba

1. Dryfujące lody nie stanowią gładkiej równiny
2. Jedni rozbijali namioty, drudzy cięli lód na herbatę, jeszcze inni dokonywali pomiarów. Dwa dni przerwy w marszu wypełniała praca
3. Krótki przystanek

Od wielu lat istnieją w Związku Radzieckim grupy amatorów-polarników. Ich członkowie ciułają każdy grosz, zbierają należne dni wolne, poświęcają urlopy, biorą urlopy bezpłatne. A wszystko dla tej jednej, jedynej miłości — groźnej, tajemniczej Północy. Trenują przez okrągły rok. Kiedy inni gapią się w ekrany telewizorów, oni ćwiczą w salach gimnastycznych, pływają w basenach, maszerują, biegają...

Podobnie jak alpiniści, speleolodzy, żeglarze — czy też miłośnicy innych dyscyplin wymagających samotresury fizycznej i psychicznej — nie zaznają spokoju, nim ich stopy nie staną na szczycie, nie pokonają labiryntu podziemnych korytarzy, dopóki nie zmierzą się z żywiołem, sztormami, czy też dopóki nie dotrą do najodleglejszego możliwego punktu na Ziemi.

KIM ONI SĄ?

Wyprawom polarnym amatorów przeważnie patronuje redakcja „Komsomolskiej Prawdy". Ale kim są ci szaleńcy zauroczeni groźną, niedostępną Północą? Reprezentują cały przekrój zawodów — od lekarzy, biologów po inżynierów.

Jedną z najbardziej doświadczonych grup i w tej chwili znaną na dwóch półkulach — dowodzi wykładowca matematyki z Moskiewskiego Instytutu Stali i Stopów — Dymitr Szparo. Już przed dziewięciu laty był on szefem wyprawy, która na nartach, bez psich zaprzęgów, dotarła do Bieguna Północnego. Siedmiu narciarzy pokonało wówczas trasę 1500 kilometrów, przez 76 dni zmagając się z arktycznymi mrozami, sztormami, z dryfującymi lodami. Wówczas — po zwycięskim dotarciu do „wierzchołka" planety, a miało to miejsce 31 maja 1979 roku, pomyśleli, że warto byłoby zorganizować wspólną ekspedycję radziecko-kanadyjską. Postanowiono pokusić się o przejście na nartach Oceanu Północnego Lodowatego. Pierwszy tę trasę pokonał w 1937 roku słynny lotnik — Walery Czkałow, przelatując z terytorium Związku Radzieckiego nad Biegunem Północnym do Ameryki Północnej...

Północny Ocean Lodowaty forsowany był z pomyślnym skutkiem dwukrotnie przez Anglików. W latach 1968–1969 za pomocą psich zaprzęgów wyprawa dotarła z Alaski do Spitsbergenu a w 1982 roku — do zerowego południka na wszędołazach. Ale grupa Szparowa zapragnęła pokonać tę trasę na nartach. Dokonać tego, czego jeszcze nie dokonał nikt...

DO TRZECIEGO BIEGUNA...

Nim doszło do zrealizowania tego zamierzenia, minęły lata. Wypełniły je kolejne treningi i kolejne wyprawy.

— Czy ktoś z Was słyszał o trzecim biegunie — biegunie niedostępności? Jest nim położony w Arktyce punkt znajdujący się na 84 stopniu szerokości północnej i 175 stopniu długości zachodniej. Ten właśnie punkt — biegun niedostępności jest równo oddalony od wszystkich kontynentów. Dotrzeć do niego trudniej niż do bieguna geograficznego.

Grupa Walerego Szparowa zdobyła „trzeci biegun" w 1986 roku. Żeby było trudniej — dokonali tego w czasie trwania polarnej nocy.

— Przez okrągłą dobę byliśmy pogrążeni w kompletnej ciemności — opowiadał dziennikarzom po powrocie na ląd Dymitr Szparow. — Jak w zamkniętym pomieszczeniu bez światła i okien. Polegaliśmy wyłącznie na gwiazdach widzianych momentami zza przewalających się chmur i na ledwo widocznej polarnej zorzy. Na tle śniegu każdy z nas widział tylko własne narty i majaczącą przed nim sylwetkę kolegi idącego przed nim. Plecaki pakowaliśmy po omacku, w jednopalcowych rękawicach. Ich zdjęcie groziło silnym odmrożeniem rąk. Od wytężania wzroku bolały oczy. Pojawiały się nierealne obrazy. Latarki włączaliśmy jedynie wówczas, kiedy trafialiśmy na przeszkody. Mieliśmy ze sobą tylko to, co mieściło się w plecakach i w kieszeniach...

Poza zdobyciem tzw. punktu niedostępności przeszli w czasie tamtej wyprawy od stacji „Biegun Północny — 26" do stacji „Biegun Północny — 27" forsując na nartach siedemsetkilometrową trasę!

Przed rokiem na Ziemi Baffina należącej do Kanady odbył się wspólny trening z Kanadyjczykami.

NIE TYLKO SPORT

Pierwszego marca tego roku z arktycznego przylądka wyspy Komsomolec, wchodzącej w skład Archipelagu Ziemia Północna, leżącego między Morzem Karskim a Łaptiewów (patrz mapka) wyruszyła wymarzona przed laty wyprawa. Uczestniczyło w niej trzynastu odważnych — czterech Kanadyjczyków i dziewięciu polarników radzieckich.

Celem podróży był Przylądek Kolumba na Wyspie Ellesmera należącej do Kanady. I tym razem środek lokomocji stanowiły nogi uzbrojone w narty, a każdy dźwigał plecak ważący ponad czterdzieści kilogramów...

Żaden z Kanadyjczyków nigdy przedtem nie brał udziału w tak trudnych wyprawach polarnych. A przecież oprócz wyczynu sportowego musieli wypełniać program naukowy przydzielony przez poszczególne instytuty (radzieccy polarnicy zawsze podczas wypraw wykonywali i wykonują określony program naukowy). I tak na przykład matematyk Jurij Chmielewski prowadził badania geofizyczne, lekarz Maks Bakston (Kanadyjczyk) i Michał Małachow (Rosjanin) zajmowali się problemem wpływu zimna, wielkiego wysiłku i nocy polarnej na organizm człowieka, jego odporność na choroby.

POMAGAŁY... SPUTNIKI

Mimo dość prostego środka lokomocji — nart, uczestnicy wyprawy korzystali z pomocy nawigacyjnej... w Moskwie.

Każdego wieczoru (licząc czas nie według wschodu czy zachodu Słońca, a według zegarków), ustawiano na podwyższeniu małą radiolatarnię.

Jej sygnał przejmowały radzieckie i amerykańskie sputniki i po dwóch godzinach polarnicy otrzymywali z instytutu w Moskwie korektę trasy...

Wyprawa podzielona była na 10-12-dniowe etapy. Po dłuższym marszu następowała 1-2-dniowa przerwa przeznaczona na odpoczynek.

W czasie tej przerwy następowały zrzuty na spadochronach żywności i paliwa do kuchenek. Spadochronami okrywano namioty, co powodowało, że utrzymywała się w nich temperatura zerowa, a czasem nawet dodatnia. W sektorze radzieckim zrzutów dokonywały samoloty radzieckie, w kanadyjskim — kanadyjskie.

Wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem.

Polarnicy przeszli w czasie jej trwania około dwóch tysięcy kilometrów, a cała podróż trwała ponad 5 miesięcy!

Opr. **WIESŁAWA MROCZEK**
Fot. **„Sowietskij Sojuz", „Przyjaźń" i „Młodość"**

Prezentujemy trzynastu polarników — bohaterów „Polarnego Mostu"

Polarnicy pchodnią oświetlają teren, gdzie ma nastąpić zrzut żywności

„Czy światomłodowemu Mikołajowi podoba się moja podkładka pod gorące garnki?" — zapytała przed dwoma laty **Beata Jakubiec** przysyłając bardzo kolorową kwadratową serwetkę i kilka innych serwetkopodstawek.

Podobały się! Nawet bardzo. Korzystając z pomysłów Beaty **Magda Jasny** wykonała, a i narysowała dwie gorącoodporne serwetki.

Taką podstawkę można zrobić z każdej tkaniny, która nie zawiera domieszek sztucznych tworzyw. Jeżeli ma to być podstawka pod gorące naczynia lub „łapka" do garnków, trzeba wyciąć dwa wierzchy (koła, kwadraty), włożyć między nie watolinę lub kilka warstw grubej tkaniny.

Hej, hej — można ponadto między te wewnętrzne warstwy wsunąć kilka goździków albo garstkę lawendy. Po postawieniu gorącego naczynia rozejdzie się delikatny, miły zapach!

Wszystkie warstwy materiałów zszywamy np. ściegiem obrębiającym albo obszywamy kolorową tasiemką, ozdobną krajką lub wstążeczką.

Na rysunku Magdy serwetki z nakładanymi aplikacjami: rogalik z 5 kawałków beżowego welwetu, rzodkieweczki też z różnokolorowych ścinków. Z czterech różnych materii ułożona jest druga podstawka. Bardzo ozdabiają takie aplikowane układanki kolorowe grube nici — włóczka, mulina, kordonek.

Podstawka przysłana przez Beatę jedną stronę miała zszytą z kawałeczków starych swetrów. Bardzo to ładnie wyglądało.

SENSACYJNE ODKRYCIE W MADAGASKARSKIEJ DŻUNGLI

Niedawno naukowy świat obiegła sensacyjna wiadomość. Oto na Madagaskarze zoolog z RFN Bernard Meier odkrył nowy gatunek lemura. Lemury należą do rzędu naczelnych, a podrzędu małpiatek. Zamieszkują gęste dżungle Madagaskaru, ale niektóre ich gatunki spotkać też można w tropikalnej Afryce oraz południowej Azji. Zwierzątka te prowadzą nocny tryb życia, a każdy wieczór witają dzikim wrzaskiem. Są zręczniejsze od małp i poruszają się bezszelestnie jak duchy. Stąd nazwa lemury. Tak właśnie starożytni Rzymianie nazywali złośliwe duchy zmarłych, w których pośmiertną wędrówkę wierzyli głęboko.

Duże, okrągłe oczy lemurów pozbawione komórek czopkowych nie rozróżniają barw, ale doskonale widzą w ciemności. Żywią się owocami i owadami.

Nowo odkryty gatunek lemurów nazwano złotym lemurem bambusowym. Złotym, ponieważ przednia część głowy tego zwierzątka jest złocistej barwy.

Nie posiadamy konterfektu złotego „bambusiaka", ale prezentujemy młodziutkiego przedstawiciela gatunku zwanego maki-myszka. Prawda, że śliczny? Ten „duch" madagaskarskiej dżungli dorasta do 13–14 centymetrów długości i aż wierzyć się nie chce, że należy on do tego samego rzędu, na czele którego uplasował się człowiek. Fakt, że zajmuje on w tym rzędzie miejsce ostatnie. **(wm)**

Repr. W. Mroczek

ŚWIECĄCE RYBKI W AKWARIUM

Jest kilka gatunków ryb akwariowych, które świecą. Najpopularniejsze są neonki Innesa, jarzeńce, neony czerwone i świeciki kongolańskie. Akwaryści na świecie znają jeszcze kilka gatunków świecących ryb, są one jednak rzadkością w naszym kraju.

Najłatwiejsze do zdobycia są neonki Innesa (*Paracheirodon innesi*) i jarzeńce (*Hemigrammus erythrozonus*). Można je zobaczyć w prawie każdym sklepie zoologicznym. Są to jednak rybki dość delikatne, dlatego w kilku słowach opiszę, jak należy je pielęgnować.

Akwarium dla tych maleńkich rybek nie musi być duże, wystarczy już 30-40-litrowe, ale trzeba je prawidłowo urządzić. Dno powinno być wysłane drobnoziarnistym żwirkiem, ale nie piaskiem, bo ten jest zbyt drobny i źle rozwijają się w nim korzenie roślin. Poza tym piasek jest zwykle bardzo jasny. Neonki i jarzeńce w akwariach z jasnym podłożem nie wyglądają tak efektownie, jak w zbiornikach z czarnym tłem i prawie czarnym podłożem. Czarne żwirki bywają czasem sprzedawane w sklepach zoologicznych i na giełdach akwarystycznych. Przy okazji warto kupić sobie kilka kilogramów takiego żwirku. Normalny żwir w akwarium można przykryć cienką warstwą czarnego. Zbiornik dla świecących ryb powinien stać w dość ciemnym miejscu naszego pokoju. Tylną i boczne szyby osłaniamy np. czarnym papierem. Z góry montujemy niezbyt silne oświetlenie. Uzupełnieniem wystroju może być garść włóknisteCIĄG DLASZY NA STR. 7

Fot. **Andrzej Kruszewicz**

Zielono mi (180)

RAJSKIE ORZECHY

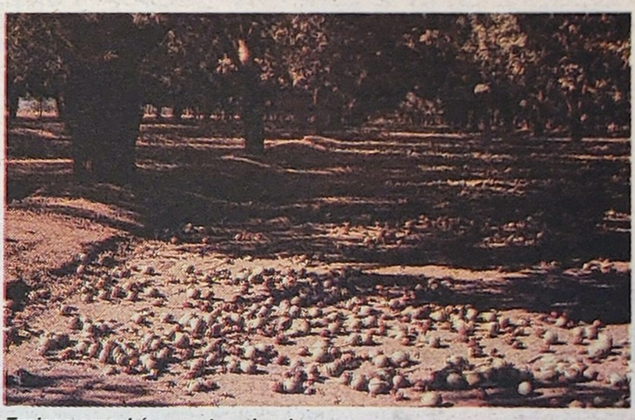

Tysiące orzechów po otrzęsinach

Uklepana ziemia przygotowana na orzechowe otrzęsiny

Gałązki drzew obłożone są orzechami

Jest taki miły zwyczaj w Europie i w Ameryce, że na Święta Bożego Narodzenia przygotowuje się fury orzechów do chrupania. W domach towarowych wielu krajów czekają na kupujących pięknie zapakowane orzechy włoskie, laskowe, ziemne, pistacjowe, cedrowe, nanerczowe, kokosowe, rajskie, a także pekany i słodkie migdały. Bardzo żałuję, że nie mamy takiego wyboru w naszych sklepach, gdyż jak wszyscy przepadam za orzechami. Niestety wszystkie rośliny rodzące orzechy pochodzą z ciepłych krajów i tylko niektóre z nich z trudem mogą być uprawiane u nas. Na pewno zaprzeczycie mi, że leszczyna nie pochodzi z ciepłych krajów, gdyż jest wszędobylska i rośnie nawet w krajach skandynawskich. Podobno leszczyna była pierwszym krzewem, który zasiedlał nasze tereny po ustąpieniu lodowca. Niestety również i leszczyna owocuje naprawdę obficie daleko na południe od nas we Włoszech i w Turcji. W naszych warunkach można więc uprawiać tylko dwa gatunki orzechów: włoskie i laskowe czyli leszczynę. Obydwa nie plonują zbyt dobrze z powodu mrozów i chłodów, toteż orzechów krajowych jest mało i są one drogie. Na import orzechów nas nie stać z wiadomych powodów.

Największymi orzechami świata są orzechy palmy **Lodoicea seychellarum,** które dorastają do 20 kilogramów. Są one podobne do orzechów kokosowych, lecz są kilkakrotnie większe. Orzech taki rośnie 7–10 lat, zanim osiągnie dojrzałość! Palmy te rosną na wyspach w pobliżu Półwyspu Indyjskiego.

Najciekawszymi orzechami są orzechy rajskie pochodzące z drzewa **Lecythis usitata,** które rośnie w puszczach nad Amazonką. Oglądałem kiedyś taki orzech przywieziony z Brazylii przez profesora Pieniążka. Wygląda jak... duży garnek z pokrywką średnicy około 25 cm. Dojrzały orzech nie spada z drzewa, natomiast odrywa się pokrywka i orzechy sypią się w dół garściami. Tylko zbierać! Sam orzech tubylcy wykorzystują jako naczynie do przechowywania różnych produktów. Jest to piękna rzecz...

Prawdziwy raj orzechowy oglądałem natomiast w Kalifornii. W tym słonecznym stanie USA zbiera się co roku dziesiątki tysięcy ton orzechów włoskich, pistacjowych, pekanów i słodkich migdałów.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Opowiadanie RADOSŁAWA POCZYKOWSKIEGO z Białegostoku nagrodzone zostało Srebrną Ostrogą

świat młodych

ZŁOTA OSTROGA

CUD WRZEŚNIOWY

Wystarczy tylko nacisnąć mały, czerwony przycisk. Koledzy zniecierpliwieni czekają na ten uroczysty moment. Zamknąłem oczy. Dwieście metrów stąd, za chwilę będzie ogromny błysk i huk. Nie zrobię im zawodu. Nacisnę.

Pomyślałem o metalowej tabliczce na budynku: „Szkoła Podstawowa nr »X«". Jeszcze wisi tam dumnie, ale niedługo...

...W ostatnim dniu wakacji uda się ją wysadzić. Musi się udać! Nikogo oczywiście w niej nie ma! Wakacje, urlopy, stróż pojechał do „rowerowego", woźna wyskoczyła na „pięć minut" do pani Stanisławskiej, żeby pójść do Nowakowej, która kupiła boooombową lampę z taaaakim abażurem w czerwone kwiatki...

Wielu się spyta, czemu wysadzamy w ostatni dzień wakacji? Odpowiadam: by jak najpóźniej robotnicy skończyli odbudowę szkoły (nareszcie po imieniu), co przy dzisiejszym tempie robót budowlanych, względnie odbudowlanych (niepotrzebne skreślić), pomińmy milczeniem...

Zanim nacisnę ten przycisk zastanowię się.

Żal trochę tej szkoły... Może nie wysadzać? Może milicja...

— Nie bój się — powiedział Bogdan. To „się" zaakcentował i przeciągnął — pomyślą, że to gaz, albo co jeszcze.

— Detonator jest super. Moja konstrukcja. SZKOŁA rozleci się w drobny mak. Ja, Wielki Bronisław, ja go wymyśliłem! I nikt nie powie, że się nie da...

— Same tróje i dwóje na koniec roku. Poprawne zachowanie; niedobre obiady, nauczyciele bili i krzyczeli. Precz ze szkołą! Cała reszta (chórem):

— Preeeeeecz!!!
— Precz z nauczycielami!
— Preeeeeecz!!!
— Naciskaj Józek!
— Dalej!
— Szybko!

Czemu tak się niecierpliwią? Mam jeszcze tyle czasu.

— Zaraz, zaraz!
— Naciskaj!

Spokojnie! Nie może tak być, żeby ta ważna sprawa była załatwiona tak prostacko. Grałem na zwłokę. Niech się jeszcze trochę podenerwują.

— 10... 9... 8... 7... 6... 5... 4... 3... 2... 1...

— Józek, do domu! Jutro musisz wcześnie wstać, bo idziesz do szkoły! — Poznałem z daleka głos mamy.

Wstałem i otrzepałem się z piasku.

— Zaraz mamo!
— Już idziesz? — spytał Bronek.
— Cześć! Spotkamy się na rozpoczęciu roku!
— A kiedy wysadzimy?
— Jutro.
— Ale do jutra dzieciaki rozwalą!

Zrobiło mi się żal Bronka. Tyle się namęczył przy robieniu detonatora z patyków i z piasku. To on z poświęceniem oderwał od koszuli czerwony guzik pełniący rolę przycisku.

1 września

(dalsza część opowiadania, zrekonstruowana według zeznań świadków)

DYREKTOR:
— Chciałbym przywitać was w nowym roku szkolnym wypoczętych i zdrowych. Mam nadzieję, że...

UCZNIOWIE:
(szeptem)
— Truje jak zawsze...

JÓZEF Ż.:
(szeptem)
— Dzisiaj o czwartej w piaskownicy. Dobrze?

BRONISŁAW W.:
(szeptem)
— Doooobra.

WOŹNA:
(nagle przybiega)
— Pali się!!!

DYREKTOR:
— Co?

WOŹNA:
— Szkoła!!!

UCZNIOWIE:
— Cud!

DYREKTOR:
— Nieszczęście!

JÓZEF Ż.:
— Cud! Tyle lat marzyłem o tym!

Około godziny 11.30 pan dyrektor dociera do budki telefonicznej i dzwoni do straży pożarnej i milicji. Mniej więcej w tym samym czasie ostatnia ściana szkoły zawala się z hukiem.

Morał dla dyrektorów: Nieszczęścia nie wybierają.

Morał dla uczniów: Czasami spełniają się marzenia.

PS. Pisane przed pracą klasową z języka polskiego i ze stanem podgorączkowym (37° z kreskami).

Radosław Poczykowski (13 lat)
Rys. **M. Jasny**

Najcichsza maszyna do pisania

(PAP). Im lepiej obsługuje się maszynę do pisania, tym bardziej akustyczne efekty pracy tego urządzenia przypominają karabin maszynowy. Pracę w ciszy zapewnia nowa elektryczna maszyna skonstruowana w W. Brytanii. Matryca zawierająca mikroelektrody dotyka na stałe taśmy z folii aluminiowej, pod którą znajduje się z kolei taśma plastykowa z suchą farbą. Naciśnięcie klawisza z odpowiednią literą sprawia, że prąd dociera do określonych mikroelektrod matrycy, układających się w kształt tej litery — rozgrzewając folię aluminiową. To z kolei powoduje rozpuszczanie się suchej farby w tych punktach, do których przylegają włączone elektrody. Na papierze pojawia się cicho litera... Przy tej technice wykluczone jest wprawdzie równoczesne uzyskanie kopii, ale nie jest to dziś mankament przy rozwiniętej technice ksero.

UŚMIECH NUMERU

W OGRODZIE zoologicznym:

— Zupełnie tego nie mogę zrozumieć, sąsiedzie wilku: urodziłam się w tej klatce, nigdy jej nie opuszczałam, a wołają na mnie kuna leśna..!

PAN MĄDRALA pomaga synowi odrabiać zadane do domu ćwiczenia z polskiego.

— A teraz daj jakiś przykład na wyjaśnienie powiedzenia „nie wszystko złoto, co się świeci"...

— No, chociażby twoja łysina...

WAKACJE W DOLINIE KLONOWEGO LIŚCIA

Ewa Przybylska 35

Jego ptasie oczy wpatrywały się w Paulinę uważnie. Nie było w nich gniewu ani rozbawienia. Tylko dziwne zaskoczenie. — Słuchaj, mała — rzekł jakby czegoś nie rozumiejąc — nie plątaj się pod nogami starych, bo kiedyś oberwiesz... Nie uczyli cię tego w domu? — znowu urwał, nie to bowiem chciał powiedzieć, Paulina czuła to, jakby siedziała w nim. Nadal patrzyła hardo w szeroką twarz gotowa na wszystko.

— To zrobiłam ja! Może mnie pan zabić!

— Zrobię to, jak się zaraz nie zamkniesz! — odrzekł. Obejrzał Paulinę od stóp do głowy, wciąż z pytaniem w oczach, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi, chociaż bardzo chciał. — To jest miasteczko pełne czubków! — powiedział wreszcie. — Wszyscy macie wielkiego fioła, jeden po drugim... Diabeł mnie podkusił, żeby się tutaj nająć do roboty! — umilkł. I to nie było to, co chciał powiedzieć.

Paulina uświadomiła sobie raptem, że Pałucki nie uwierzył jednemu słowu. Wszystko już posprawdzał, ułożył w prawdziwy obraz i teraz tylko czeka na stosowniejszy czas do porachunków. Powróciło do niej uczucie bezsilności i lęku o Rudą.

— Naprawdę to zrobiłam ja! — rzekła cicho, ogromnie przygnębiona. — Może się pan na mnie zemścić, pana prawo...

Pałucki słuchał. Gniew ulotnił się z jego twarzy. Pełen ciekawości patrzył w twarz Pauliny i myślał swoje. Wielkie łapy Pałuckiego zapalały kolejnego papierosa, płomyk zapałki omal nie przypalił mu długiego nosa, a on wciąż patrzył. Paulina czekała, jak postąpi z nią ten obcy mężczyzna, który przywykł kierować się tylko prawami swojej kieszeni nawet za cenę potępienia.

— U kogo już z tym byłaś? — spytał nagle.

— U nikogo.

Skinął głową, że tak właśnie przypuszczał.

— A jak bym tak poszedł z tym do twojego ojca? — zapytał znowu.

— Nie zrobi pan tego.

— Nieee? — zdziwił się.

— Bo to by było nie w porządku — odrzekła.

— I kto tu mówi o porządku — na to on.

— Co innego walczyć. A co innego donosić — odrzekła.

Znieruchomiał. Chwilę patrzył oszołomiony. Potem w oczach ukazało się zrozumienie rzeczy.

— Taaaa — rzekł. — Toś dlatego nie poleciała po milicję... Toś ty pływała w łódce z tym czubatym...

Paulina milczała.

— Taaa — powtórzył. — Z ciebie jest kawał diablicy, mówił ci kto o tym?

— Nie dbam, co mówią — odrzekła.

— Taaaa — rzekł po raz trzeci i splunął w rzeczkę. — To prawie jak ja... — odwrócił się plecami do Pauliny i chwilę gapił w rwący nurt rzeki ściśniętej mostem. Wypryskiwała spod niego spieniona, pełna wirów, sięgających swymi tulejami do dna... — Chodźno tu — rzekł nie odwracając się i ponaglił ją ręką. Rzucił gałązkę w dół. — Widzisz te wiry? Jak w nie ktoś wleci, to po nim, nikt go nie wyciągnie, jak tej gałązki... Będzie się kręcił wkoło jak głupi bąk, aż skończy... Taki jak ja nie może mu pomóc ani zaszkodzić... Zapamiętaj to i powtórz mu... Może tobie uwierzy.

Nie wymienił, komu. Wiedział, że nie musi. Ruszył nie oglądając się za siebie, aż wreszcie skryły go drzewa, rosnące nad zakolem.

Paulina wciąż patrzyła w dół. Wiry wyrzucały zmąconą wodę, liść który wpadł, kręcił się jak oszalały... Był to przerażający widok. Paulina cofnęła się raptownie znad balustrady mostu. Zaczęła biec. Dotarła pod klony i topole i usiadła pod nimi. Pałucki wynurzył się właśnie za drugim zakolem. Szedł tym swoim charakterystycznym krokiem drwala, przy którym ramiona pracowały mocniej od nóg. Paulina patrzyła za nim nie rozumiejąc, dlaczego nagle przestała go nienawidzieć...

Pan zjawił się w Miasteczku po tygodniowej nieobecności. Ludzie mówili, że wyjechał aby zgromadzić papiery, a wszyscy wiedzieli z jakiego powodu. Pan jednak nie wyglądał na szczęśliwego. A gdy po południu poszedł z Danielą na spacer, to przesiedzieli dwie godziny na cmentarzu pod wielkim białym aniołem. Anioła wyrzeźbił ktoś przed wojną. Pocisk oberwał mu dłoń, twarz jednakże i skrzydła ocalały nietknięte. Siedzieli więc we dwoje pod tym aniołem i milczeli, raz po raz spoglądając na siebie.

Wszystko to opowiedziała dzieciom Emilia. Emilia chodziła na cmentarz podlewać kwiaty na grobie jednej z ciotek. Nie chodziła chętnie. Lecz gdy Pan z Danielą zaczęli wysiadywać pod ocalałymi skrzydłami, albo spacerować mrocznymi alejami starego cmentarza, pełnego czarnych tablic ze złotymi napisami, których nikt nie rozumiał, Emilia zaczęła się sama domagać konewki i grabek i biegła co dnia największymi skrótami, aby nareszcie tam być w pobliżu.

Pan i Daniela siedzieli na ogół w tym samym miejscu. I zawsze milczeli. Emilia uznała to za bardzo przejmujące mówiąc, że bardziej wyglądało to na żegnanie się niż na zwykłe spotkanie. I zaraz dodawała, że to z powodu niereligijności Pana mają takie kłopoty ze ślubem. A szkoda. W tym miejscu Emilia zaczynała nieodmiennie płakać, tak bardzo bowiem wzruszała ją miłość tragiczna.

Dzisiaj również szlochała. Przydybała Paulinę, Janka i Romana na łące, przysiadła się do nich i bez wstępów uderzyła w płacz. Lecz szloch nie przeszkadzał jej w opisywaniu prześlicznej sukienki Danieli, w której wyglądała piękniej niż najprawdziwszy anioł. Poza tym co zdanie wtrącała proroctwa co do przyszłości obojga.

— Nie będą szczęśliwi! — rozpaczała przesuwając się w bardziej suche miejsce. — Nie można być szczęśliwym bez Boga.

— Pan dotąd był — zauważył Janek rzeczowo.

— Brak ci serca — odrzekła Emilia. — Nic nie rozumiesz. Nie mogą być ze sobą bez ślubu...

— Ja bym mógł — oznajmił Roman, — i nasz Cypciu też.

Emilia przestała płakać.

— Lotnicy są bezbożnikami... — zarzuciła.

— Są bliżej nieba niż ty i cała twoja piekarnia — odparował Roman.

— Nie idzie tu o Boga, Bóg rozumie — odezwał się Janek. — Tylko o to, co ludzie powiedzą... Mama mówi, że językiem można zabić...

Zamilkł. Spojrzeli równocześnie w stronę białej willi z czerwonym dachem i wieloma tarasami, na których od dawna nikt nie siadywał. Okiennice nadal były pozamykane, tylko dwa okna od ogrodu były niekiedy otwarte. Często przez całą noc świeciło się w nich światło. Emilia nagle zaczęła znowu płakać. Romanowi wpadło coś do oka. Janek ułożył się twarzą ku trawie. A Paulina pokazała wszystkim plecy i zaczęła wpatrywać się w niebo.

— Myślisz — odezwał się Roman nie wiadomo do kogo — że klasa była dla niego niedobra.

— Ja nie! — zastrzegła się Emilia.

— Pan Kierownik zrównał go w prawach — odezwał się Janek. — Wszystko było jak trzeba...

Znowu zapadła cisza. Chwilę wspominali, każdy w sobie, jak się to zrównanie Białego odbyło i nie mogli znaleźć w nim niczego, co by czyniło Białemu ciężko koło serca...

— Nie — odezwał się Janek — Biały to rozumiał... On wiele rozumiał...

Paulina wciąż oglądała niebo.

Od miasteczka nadciągał najmłodszy brat Romana, przywiązany do krowy. A co Kalina przyspieszyła, to mały wrzeszczał i zapierał się z wszystkich sił. Nie miał jednakże szans. Obserwowali chwilę jego zmagania z upartym zwierzęciem. Roman wstał, aby przestrzec brata, że tuż za krzewami jest rów, chociaż sam powinien o tym wiedzieć. Lecz nim otworzył usta, mały już siedział w wodzie, rycząc ze złości.

Cdn.

Maluchy siedzące na widowni przyglądały się występom swoich starszych kolegów...

KTO WYGADAŁ TAJEMNICĘ?

Za stolikiem nakrytym białym obrusem stoi siedmio-, może ośmioletnia ekspedientka i z uśmiechem wita grupkę małych klientów, którzy właśnie w jej sklepie postanowili zrobić zakupy. Wiklinowe kosze kupujących szybko napełniają się ogórkami i pomidorami... z krepiny.

— *Proszę jeszcze o kilogram papryki* — mały chłopiec mówi powolutku i bardzo wyraźnie. Uff... Zakupy prawie skończone. Trzeba jeszcze tylko zapłacić (i przy okazji uporać się z nieszczęsnymi liczebnikami...). Teraz, na zakończenie występu — głęboki ukłon i...

— *Proszę Państwa, jak Wam się podobało?*

— *Ogromnie!* — odkrzyknęli siedzący na widowni uczniowie warszawskiej Szkoły Podstawowej nr 205 i nagrodzili swych rówieśników gromkimi brawami. Należały się one aktorom — to prawda. Bo scenkę „Chodźmy po zakupy" odegrały po polsku dzieci... japońskie i z „pułapkami" naszego języka ojczystego poradziły sobie nie najgorzej.

W Japonii, w każdej szkole, raz do roku — jesienią odbywa się wielka uroczystość. Podczas spotkania, na które zapraszani są rodzice, przyjaciele i znajomi, uczniowie prezentują swoje umiejętności recytatorskie, wokalne, aktorskie... By dobrze wypaść przed zaproszonymi gośćmi, już na miesiąc przed uroczystością dziewczęta i chłopcy, pod kierunkiem nauczycieli, opracowują program i pilnie go ćwiczą. W tym czasie nawet lekcje mają inny przebieg niż zazwyczaj i są podporządkowane przygotowaniom do szkolnej gali.

Właśnie taka doroczna uroczystość odbyła się w listopadzie w stołecznym teatrze „Buffo". W Warszawie bowiem istnieje **szkoła japońska**. Co prawda niewielka — w tym roku uczy się w niej siedemnaście osób — ale pracująca i zachowująca takie zwyczaje, jak wszystkie szkoły w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Na sali teatralnej — prawie komplet. W pierwszych rzędach, „uzbrojeni" w aparaty fotograficzne i kamery wideo, siedzą rodzice. Występ syna czy córki na szkolnym święcie — to bardzo ważna sprawa i warto odnotować ją w rodzinnym archiwum...

Właśnie młodsi uczniowie skończyli śpiewać piosenki, gdy na ich miejsce wkroczyli piąto- i szóstoklasiści. Scenki rodzajowe, które za chwilę zaprezentują, będą odegrane w trzech językach: japońskim, polskim i niemieckim. Potem — fragmenty „Robinsona Crusoe" — tym razem po angielsku.

Maluchy siedzące na widowni ożywiały się najbardziej podczas występów szkolnej mini-orkiestry. Flety, wibrafon, bębny, fortepian — i muzykujemy jak się patrzy! Że ktoś pod koniec utworu pomylił rytm i stukał w bęben zupełnie nie do taktu? To i co z tego? W końcu nie sami muzyczni geniusze chodzą po tej ziemi...

Uczniowie szkoły japońskiej przedstawili publiczności kostiumową bajkę „Uszy króla to uszy osła". Opowieść o wielkiej królewskiej tajemnicy, która przez przypadek rozniosła się po okolicy — znana jest także w Polsce (w zbiorach baśni nosi tytuł „Ośle uszy króla"). Choć więc aktorzy na scenie bajkową historię odegrali po japońsku, to nawet ci z widzów, którzy nie znali tego języka — nie mieli kłopotu ze zrozumieniem treści przedstawienia.

— *Z uczniami szkoły japońskiej przyjaźnimy się już od pięciu lat. Chodzimy do siebie w odwiedziny, uczymy się piosenek. My — japońskich, oni — polskich. Kiedyś nawet próbowaliśmy opanować sztukę pisania kilku, tak egzotycznych dla nas, japońskich znaków, ale... to nie jest takie proste* — uśmiecha się Agnieszka — uczennica szóstej klasy warszawskiej Szkoły nr 205 z ulicy Spartańskiej.

— *Rozpoznajemy nawzajem swoje twarze, ale, prawdę mówiąc, z zapamiętaniem imion japońskich jest już gorzej...* — dodaje Marysia. — *Od czasu do czasu gawędzimy po angielsku... I — na tyle, na ile pozwala nam znajomość języka — dogadujemy się. Gdy trzeba wyjaśnić coś bardziej skomplikowanego, „podpieramy się" międzynarodowym kodem na migi...*

Może kiedyś te międzyszkolne kontakty zaowocują? Może któryś z polskich uczniów będzie w przyszłości studiować japonistykę? A może przyjaźnie zawiązane dziś, okażą się trwałe na wiele lat?

(ist)

Fot. **M. Zieleniewska-Felak**

Straż przyboczna króla, który miał ośle uszy...

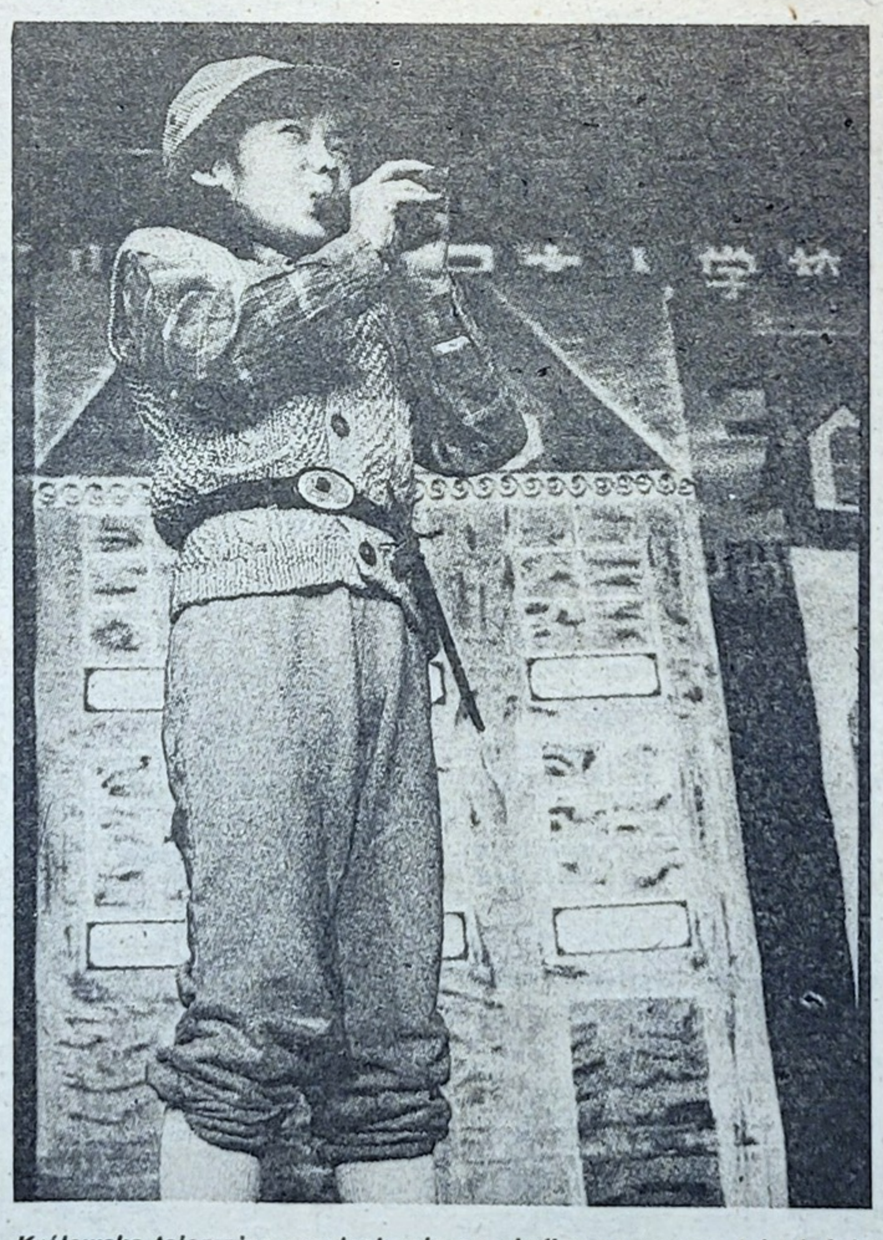

Królewska tajemnica rozniosła się po okolicy za sprawą tej właśnie piszczałki, wystruganej przez pastuszka...

ŚWIECĄCE RYBKI W AKWARIUM

CIĄG DALSZY ZE STR. 4–5

go torfu, dekoracyjny korzeń i rośliny. No właśnie, jakie rośliny? Przecież w takim akwarium będzie prawie ciemno! Jest kilka roślin akwariowych znoszących skąpe oświetlenie, np. mech jawajski (*Vesicularia dubyana*), mikrozorium skrzydlaste (*Microsorium pteropus*) i in. Akwarium może być też silniej oświetlone, ale z wieloma roślinami pływającymi, zacieniającymi dno. Stosujemy np. salwinię, wgłębkę, żabiścieg itp.

Woda powinna mieć temperaturę 22–24°C. Dla samopoczucia ryb ważne jest filtrowanie wody i jej natlenianie. W małym akwarium wystarczy zwykły filtr wewnętrzny. Godne polecenia jest regularne zbieranie mułu zalegającego na dnie i uzupełnianie ubytku świeżą wodą.

UWAGA! Neonki i jarzeńce są bardzo wrażliwe na nagłe zmiany parametrów wody. Uzupełniając wodę w zbiorniku z tymi rybami stosujemy tylko wodę odstałą przez 2 dni i o zbliżonej temperaturze. Nie zmieniamy więcej niż 1/5 objętości wody. Opisywane rybki lubią wodę miękką. Dobrze więc jest na 10 litrów wody wodociągowej dodać 1 litr wody destylowanej.

Aby rybki były zawsze ruchliwe i wesołe, potrzebują dobrego pokarmu. Ich karmienie nie jest kłopotliwe, bo jedzą dosłownie wszystko, ale (!) w małych ilościach. Potrzebne im jest menu jak najbardziej urozmaicone. Ważny jest dodatek pokarmów żywych, a więc planktonu i larw owadów.

Neonki i jarzeńce wyglądają najefektowniej, gdy wieczorem mają już zgaszone światło w akwarium, a w pokoju jest półmrok rozświetlony tylko jedną słabą żarówką. Nasze rybki wówczas naprawdę świecą!

Widok stadka neonek lub jarzeńców jest wspaniałą nagrodą za ich pielęgnację. Życzę wielu miłych chwil przy akwarium z tymi żywymi klejnotami.

ANDRZEJ KRUSZEWICZ

RAJSKIE ORZECHY

CIĄG DALSZY ZE STR. 4–5

Jest to wielka produkcja przemysłowa, która może przyprawić o zawrót głowy. W pobliżu miasta Visalia ciągną się jak okiem sięgnąć sady orzechowe. Niektóre z plantacji mają już po 70 lat, toteż orzechy przypominają rozłożyste dęby. W słonecznym klimacie gałązki drzew dosłownie obłożone są orzechami. Przed sezonem zbiorów, który wypada tutaj w połowie września, pracują w sadach specjalne maszyny, które niszczą chwasty, wyrównują ziemię i uklepują ją na twarde, równe klepisko. Jest to przygotowanie do orzechowych otrzęsin.

Następnie pojawiają się w sadzie inne maszyny, które otrząsają orzechy, zgarniają je na pryzmy i ładują na potężne 15-tonowe przyczepy samochodowe. Ten zmechanizowany zbiór daleki jest od otrząsania orzechów tyczką, jak to robimy w naszych ogrodach, gdyż odbywa się w tumanach kurzu i przy ogłuszającym hałasie. Samochody wożą owoce do łuszczarni dla oddzielenia zielonych okryw od skorup. Przy okazji otrzęsin i transportu polne drogi zasypane są orzechami. Pod butami aż trzeszczy od rozgniatanych owoców. Ale nikt się tutaj nie schyli, by podnieść jednego orzeszka. Łuszczarnie pracują pełną parą. Wyłuszczone i umyte orzechy sypią się gradem na inne samochody, które zabiorą je do suszarni i pakowni. Tam wysuszone, wybielone i pięknie zapakowane będą wysyłane do sklepów.

AUGUSTYN MIKA

Zielona poczta

Alina Wojciechowska z Puszczykowa zapytuje, jakie kwiaty można uprawiać w domu na oknie mało nasłonecznionym. Roślin takich jest wiele. Pochodzą one z mrocznego podszycia lasów tropikalnych. Wymienię najbardziej popularne: **cissus, kroton, difenbachia, dracena, bluszcz, monstera, filodendron, aspidistra, peperomia i maranta. (am)**

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Telex 81-36-58.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-ca sekr. red. Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28. **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Wiesława Chmielewska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie oupowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" — Warszawa
Zam. 4566/G/88. U-5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 3808/88
Nakład 439 000 egz.

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 149 (4544)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

KUBUŚ PIEKIELNY • Sąsiedzi

Tekst i rysunki
Szarlota Pawel

17

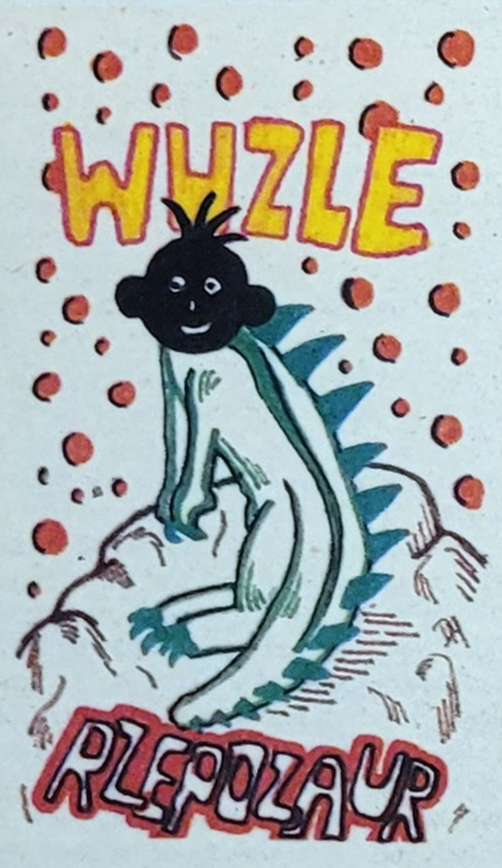

Autorem mego portretu jest **Mariusz Duda**, którego zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Nazbierało się w mojej szufladzie sporo listów z pytaniami, na które muszę wreszcie odpowiedzieć:

● Co to jest Rzepklub? Czy członkowie noszą jakieś odznaki? Czy są legitymacje? Jakie są obowiązki członka?

RZEPKLUB jest stowarzyszeniem tych moich korespondentów, którzy wykazali poczucie humoru, a ich dzieła plastyczne, bądź wyszperane przez nich rzeczy wesołe zostały zamieszczone w moim kąciku.

RZEPKLUB wyłonił kilka sekcji specjalnych np. *Sekcja Śmieszka* (mojego synka) — dla nie-nastolatków; *Sekcja Właścicieli Kundli* (kotów, chomików, świnek, papużek itp.).

CZŁONKOWIE Rzepklubu nie noszą żadnych odznak ani legitymacji. Obowiązków nie ma żadnych. Wierni członkowie korespondują ze mną systematycznie, przysyłają wyszperane przez siebie żarty rysunkowe, anegdotki i własne rysunki. Adres Rzepklubu jest taki sam, jak redakcji „Świata Młodych". Na kopercie powinien znaleźć się dopisek „Rzepklub" lub po prostu — Rzep.

Witam i zapraszam do klubu nowych Czytelników, którzy właśnie po raz pierwszy wzięli do ręki „Świat Młodych"!

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

RZEPKLUB

Zamieszczone poniżej żarty rysunkowe wyszperali: **Lidka Kordowska**, **Radek Fąfara**, **P. Zoń**. Zapisuję ich do klubu.

NOWE PAPIEROSY

Zaprojektował **Tomek Zablocki**, którego zapisuję do Rzepklubu.